

MARIA COFFEY

**MROCZNA**

**STRONA**

**GÓR**

Wydawnictwo Sklepu Podróżnika  
Warszawa 2013

# Spis treści

Podziękowania .....	6
Wstęp .....	9
I. Chwile doskonałości .....	11
II. Szczęśliwe czasy, trudny związek .....	33
III. W niewoli .....	51
IV. Strefa transcendencji .....	70
V. Zapada mrok .....	87
VI. Przepracowanie żałoby .....	108
VII. Honorowe odznaki .....	128
VIII. Mistrzowie zaprzeczenia .....	144
IX. W mroku .....	168
X. Zalegający cień .....	182
XI. Pośmiertny blask .....	200
Bibliografia .....	214

# Rozdział IV

## Strefa transcendencji

*Nanga Parbat. Jej wierzchołka strzeże flanką Rupal, największa górską ściana na świecie. Mordercza: pionowa, nękana przez burze i lawiny. Czterech Japończyków próbuje ją pokonać. Wchodzą do długiej rynny Merkla. Zrywa się burza. Mężczyźni nie wracają. W bazie reszta ich ekipy czeka... i czeka... Przed opuszczeniem góry wspinają się po poręczówkach na wysokość 6700 metrów i zostawiają wór transportowy ze sprzętem, jedzeniem i namiotem. Gest wykraczający poza nadzieję. Dar dla umarłych.*

*Kilka lat później czterech Amerykanów usiłuje wejść na ten sam szczyt, tą samą drogą. Są w rynnie Merkla. Trzysta sześćdziesiąt metrów od wierzchołka. Jeden z mężczyzn cierpi na chorobę wysokościową. Zrywa się burza, wycofują się. Przetaczają się przez nich falami lawiny pyłowe. Jedna, dużo większa niż pozostałe, zmiata ich ze ściany. Ich lina jest wpięta w pojedynczą śrubę lodową. Dyndając, spanikowani, dławiąc się pędzącym śniegiem, myślą, że śruba w każdej chwili może puścić, po czym zginą. Kiedy lawina ustaje, mizerna twarz chorego mężczyzny z zamkniętymi, zamarniętymi powiekami zwraca się ku górze. „Zamierzałem się wypiąć i z tym skończyć” – mówi do swych przyjaciół.*

*Godzina po godzinie torują drogę w dół. Około dziesiątej wieczorem wylaniają się z rynny Merkla i osiągają ochronną przewieszkę. Dwóch mężczyzn usuwa liny z końcowego odcinka żlebu. „Wypuszczam liny!” – krzyczy*

*ten na górze. Wiatr porywa niektóre z jego słów. Jego przyjaciel błędnie go rozumie. Słyszy komendę. Wypełnia ją. „OK. Wypuszczam!” – odkrzykuje. Ich liny – pępowiny wiążące ich z górą i życiem – szybują w przestrzeń.*

*Mają dwa wyjścia. Zostać tu, gdzie są i zamarznąć na śmierć lub spróbować czegoś niemożliwego – zejścia flanką Rupal bez asekuracji.*

*Ranek. Cztery drobinki trzymają się kurczowo góry z pomocą kilku kawałków stali – raków i czekanów. Nie ma siatki asekuracyjnej. Jedno poślizgnięcie i spadną 3000 metrów. Szanse przeżycia: minimalne. Po czym dostrzegają...wór transportowy przypięty do ściany. Spłowiały od słońca, obszarpany. Przyozdobiony japońskim pismem. Rozcinają go. Wysypuje się sześćdziesiąt haków, tuzin śrub lodowych, tabliczki czekolady, namiot, kuchenka, dwie nowe pięćdziesięciometrowe liny. Dar od umarłych.*

Czterej mężczyźni na wyprawie z własnego wyboru, po skonfrontowaniu się ze straszną próbą i śmiercią, przeżyli. Heroiczna opowieść, która została ze mną na długo po jej usłyszeniu.

„Heroiczna?” – Mark Twight, amerykański alpinista i jeden z czterech mężczyzn z flanki Rupal był sceptyczny. „Nie sądzę. Gdy byłem młodszy, marzyłem, by moje osiągnięcia uważano za heroiczne, lecz teraz tak tego nie postrzegam. Nikt nie przykładał nam bronii do skroni, zmuszając, byśmy to robili. I nie czyniliśmy tego dla dobra nikogo innego”.

Większość alpinistów skwapliwie przyznaje, że wspinaczka nie przynosi pożytku nikomu prócz nich. „Jest nadzwyczaj egoistyczna” – stwierdził brytyjski wspinacz Joe Simpson. „Musi być. W przeciwnym razie nie możesz się tym zajmować”. A mimo tego ich wyczyny są sławione jako bohaterские, szczególnie jeśli górą, o której mowa, jest Everest. W 1924 roku George Mallory i Sandy Irvine zaginęli na północno-wschodniej grani Everestu podczas próby pierwszego wejścia na szczyt. W nabożeństwie żałobnym odprawionym za nich w katedrze Świętego Pawła uczestniczyli przedstawiciele rodziny królewskiej. Ku ich czci ustawiono znicz na cokole Kolegium Mertona w Oksfordzie; zamontowano tablicę pamiątkową na ścianie kaplicy w Shrewsbury; w Birkenhead i Liverpoolu przemianowano nazwy dwóch ulic ich nazwiskami; umieszczono pamiątkowe okna w katedrze w Chester i kościele w Mobberly, rodzinnej wiosce Mallory’ego. „Na koniec, w kwiecie swej doskonałej męskości został stracony dla ludzkiego wzroku pomiędzy niebem

a ziemią, na najwyższym szczycie – Evereście” – brzmi inskrypcja w Mobberly. W oficjalnej księdze wyprawowej przytoczono słowa Geoffrey’a Bruce’a: „Warto było umrzeć na tej górze, by pozostawić po sobie taką reputację”.

Wraz z pokonaniem wszystkich wybitnych gór na świecie okres zdobywania szczytów na rzecz swojego kraju chyli się ku końcowi, ale alpinści nadal cieszą się sławą. Za swoje dokonania na Evereście Wielka Brytania uhonorowała Edmunda Hillary’ego tytułem szlacheckim, Tenzinga Norgay’a Medalem Jerzego, Johna Hunta członkostwem w Izbie Lordów, Chrisa Boningtona i Douga Scotta tytułem Komandora Orderu Imperium Brytyjskiego, a samego Chrisa również tytułem szlacheckim. Po drugiej stronie Atlantyku członkowie pierwszej udanej amerykańskiej wyprawy na Everest z 1963 roku zostali zaproszeni do Gabinetu Ovalnego, by wymienić uściski dłoni z Johnem F. Kennedym. Erik Weihenmayer, pierwszy niewidomy wspinacz, który wspiął się na ten szczyt, był w Białym Domu w 2001 roku, by spotkać się z Georgem Bushem. Magazyn „Time”, opisując osiągnięcie Weihenmayera, określił je jako „wejście bohatera”. Co jest takiego w górskiej wspinaczce, co przekształca zasadniczo nieprzydatne, egoistyczne zajęcie w czyn heroiczny?

„Oxford English Dictionary” definiuje bohatera jako kogoś, kto „wykazuje nadzwyczajną odwagę, niezłomność, hart lub wielkość duszy w jakimś działaniu”. Wysokogórska wspinaczka oferuje niezliczone okazje dla tak zdefiniowanego heroizmu. Wiosną 1999 roku Alex Lowe przygotowywał się do wejścia górnym zachodnim żebrem Denali na Alasce, gdy służby parkowe zapytały, czy mógłby pomóc w ratowaniu trzech hiszpańskich wspinaczy uwięzionych na tej górze. Wraz z Markiem Twigthem i Scottem Backesem zostali przetransportowani helikopterem na wysokość 5940 metrów. Z tego miejsca, wykorzystując techniki wspinaczkowe, musieli zejść do Hiszpanów i wrócić z nimi do oczekującego helikoptera – tam i z powrotem w ciągu dwóch godzin.

Gdy dotarli do uwięzionych, odkryli, że jeden z nich już zmarł wskutek upadku. Ocalałych pchali i wlekli 60 metrów w pionie, w górę poręczówek. W końcu jeden z Hiszpanów zemdłał. Przemieszczanie się z nim dalej wydawało się niemożliwe, dopóki Alex Lowe nie oznajmił, że go poniesie. Mark Twight pamięta, jak Alex powiedział „Weź mój plecak.

I zdejmij jego raki, by nie rozdarły mi kurtki”. Wciągnąwszy mężczyznę na swoje plecy, poniósł go ponad 530 metrów w górę śnieżno-lodowych zboczy o nachyleniu 35°, a kolejne 30 metrów w pionie. Wniósł na barana bezwładny ciężar na stromy szczyt – herkulesowy wyczyn. „Była to jedna z tych rzeczy, które robisz, bo musisz” – powiedział później Alex.

Jednak wcale nie musiał tego robić – mógł zostawić Hiszpana własnemu losowi. Rankiem 11 września 2001 roku niektórzy ludzie przerwali szaleńczy bieg w dół klatek schodowych płonących wieżowców World Trade Center, aby pomóc tym, którzy zostali uwięzieni. Wyobraź sobie taki moment – gdy w ułamku sekundy podejmujesz decyzję, która wpływa na szanse twojego przeżycia; kiedy działasz wbrew instynktowi samozachowawczemu ze względu na troskę o życie innych ludzi. Schopenhauer, XIX-wieczny niemiecki filozof, nazwałby to przełomem w metafizycznym zrozumieniu. Twierdził, że odrębność jest iluzją, że nasza prawdziwa rzeczywistość to połączenie wszystkich form życia. Gdy czterej mężczyźni na flance Rupal spojrzeli sobie w oczy, zastanawiając się, który z nich przeżyje, odpowiedź i tak nie miała znaczenia, gdyż w tej ekstremalnej sytuacji porzucili swoje indywidualne ja i stali się jednością. Barry Blanchard utrzymuje, że takie chwile są „wieczne i prawdziwe”. Schopenhauer by się z nim zgodził – taki przełom, doświadczony w pewnych kryzysowych chwilach, jest życiową prawdą. A bohater to ktoś, kto skłonny jest zaryzykować swoje fizyczne istnienie, choćby podświadomie, dla realizacji tej prawdy.

Fenomenalna siła, energia i talent Aleksa Lowe’a jako wspinacza stały się legendarne. Magazyn „Outsider” nazwał go „prawdopodobnie najlepszym wspinaczem na naszej planecie”. Jego kolega-alpinista Tom Hornbein stwierdził, że zdolności Aleksa tak odbiegały od umiejętności innych wspinaczy, „jak Horowitza od zwykłego pianisty koncertowego. W jego wspinaczce była płynność i wirtuozeria, które sprawiały, że gdy to obserwowałeś, rzeczy niemożliwe dla większości ludzi wydawały się łatwe”.

W kilka miesięcy po spektakularnej akcji ratunkowej na Alasce Alex Lowe zginął w lawinie na Shisha Pangmie. Wspinaczkowy świat był zszokowany. „Śmierć Aleksa uderzyła nas naprawdę mocno” – powiedział Pete Athans. „Myślę, że wszyscy sądziliśmy, iż zawsze będzie wychodził bez szwanku z górskich prób, wracał do centrali firmy i wykonywał w ciągu godziny 500 podciągnięć. Jego śmierć była poważnym ciosem”.

Według psychologa Geoffa Powtera część szoku związanego z jego śmiercią wynikała z charakteru wypadku. Alex szedł po lodowcu, przez stosunkowo łatwy teren, z dala od zagrożeń, gdy paręset metrów wyżej oberwała się lawina. Pobiegł w złym kierunku. Gdyby podążył za swym przyjacielem Conradem Ankerem, który szedł tuż za nim, być może dzisiaj by żył. „Pragniemy, by śmierć naszych bohaterów była szlachetniejsza” – mówi Powter. „Na przykład spowodowana odpadnięciem podczas jakiegoś ogromnie trudnego technicznie wyciągu – to byłoby łatwiejsze do zaakceptowania”.

To, że Alex zostawił żonę i trzech synów, wzbudziło dezaprobatę amerykańskich mediów, które poddały w wątpliwość jego status bohatera. Gdy stało się publicznie wiadome, że wdowa po Aleksie związała się z Conradem Ankerem, dezaprobatą jeszcze wzrosła. „Magazyn «Outsider» opublikował list od pewnej kobiety” – opowiadał z goryczą Conrad Anker. „Napisano w nim coś na kształt: «Jenni, obudź się. Spotykasz się z kolejnym egocentrycznym, ryzykanckim draniem, a prawdziwymi przegranymi są twoi synowie»”.

Kiedy George Mallory zaginał na Evereście w 1924 roku, także zostawił żonę i małe dzieci, ale nie spowodowało to żadnego uszczerbku w jego publicznym wizerunku. Według wspinaczkowego powieściopisarza Rogera Hubanka po okropieństwach I wojny światowej śmierć Mallory'ego i Sandy'ego Irvine była „niczym ofiara... odzyskanie czegoś zdeptanego w błocie Flandrii, teraz znów oczyszczonego, pierwotnego niczym ogień... Poza tym kto wówczas myślałby o żonie i dzieciach Mallory'ego, w kraju pełnym wdów i dzieci pozbawionych ojców?”. Jednak dla współczesnych alpinistów kwestia heroizmu jest subtelniejsza. Wiosną 1995 roku Alison Hargreaves była ulubienicą brytyjskiej prasy, gdy jako pierwsza kobieta weszła na Everest samotnie i bez dodatkowego tlenu. „Alison – Królowa Everestu!” – głosił jeden z nagłówków. W sierpniu wspinała się na K2, podejmując końcowy atak szczytowy. Było późno, na północy tworzyły się groźne chmury, lecz ona kontynuowała wspinaczkę. O osiemnastej stanęła na wierzchołku drugiego co do wysokości szczytu na świecie. Niebo było bezchmurne, powietrze spokojne. Moment triumfu. Ale kilkaset metrów niżej chmury generowały huraganowe wiatry. „Kiedy wiatr uderza w podnóże szczytu, nie ma dokąd się skierować,

jedynie w górę” – napisali Ed Douglas i David Rose w biografii Alison Hargreaves. „A gdy szuka ucieczki, wzmaga się”. Po mniej więcej dwóch godzinach wiatr o prędkości około 160 km/h uderzył w górne partie K2. Alison wraz z pięcioma hiszpańskimi wspinaczami została oderwana od szczytu niczym piórko i ciśnięta w dół tak brutalnie, że zerwało z niej kurtkę, uprząż i jeden z butów. Kiedy wichura uspokoiła się, inny wspinacz odnalazł te rzeczy. Łączył je ślad krwi, który wiódł od szczytu do miejsca, gdzie leżało jej niedostępne ciało.

Tymczasem głęboki szacunek mediów szybko zmienił się w oczernianie. Fakt, że Alison była matką dwójki małych dzieci został wykorzystany przez prasę i posłużył do strącenia jej z piedestału.

Gdyby Alison zawróciła ze szczytu, zarówno ona, jak i wielu obserwatorów jej poczynań uznałoby to za porażkę. Ostrożność w himalaizmie rzadko spotyka się z uznaniem ani nie jest uważana za bohaterstwo, lecz Edowi Viestursowi i jego sponsorom udaje się zmieniać to nastawienie. Ed bez dodatkowego tlenu zdobył wierzchołki czterestu najwyższych szczytów na świecie. Jest także ojcem dwojga małych dzieci. „Jako wspinacz zawsze czułem, że nie chcę w górach robić nic skrajnie niebezpiecznego. A teraz, ponieważ mam rodzinę, odczuwam to tym bardziej. Jeśli nie zdobędę szczytu, bo czuję, że jest zbyt niebezpiecznie, jestem szczęśliwy, dając za wygraną”. Bez wątplenia postępuje zgodnie z tym, co mówi. W 1993 roku osiągnął Centralny Wierzchołek Shisha Pangmy. Prawdziwe zwieńczenie szczytu znajdowało się trzy i pół metra wyżej, w odległości 90 metrów, po drugiej stronie ostrej jak nóż grani. Ed był sam, a grań obwarowana była nawisami – niestabilnymi masami śniegu naniesionego przez wiatr. Zawrócił. Na Broad Peak wycofał się 45 metrów przed szczytem, gdyż wiodące nań zbocze było zbyt obciążone śniegiem. Na Evereście dwukrotnie, w 1987 i 1995 roku, zatrzymał się na Wierzchołku Południowym, ponieważ warunki nie wydawały się optymalne do wspinaczki na szczyt. Na Annapurnie w 2002 roku wycofał się z lawiniastego zbocza w drodze na wierzchołek, mimo że dwaj członkowie jego ekipy pokonali je przed nim bez wypadku. W internetowym komunikacie przyznał: „Jestem rozczarowany, że nie wspięliśmy się na Annapurnę. To jedna z tych spraw, które wiążą się z pewnymi zagrożeniami... lecz jednocześnie jest niezwykle ważne, by mieć do tego bardzo konserwatywny



stosunek”. Po wyprawie całostronicowa reklama jednego ze sponsorów Eda, producenta wełnianej odzieży, ukazała go na wierzchołku Manaslu triumfalnie trzymającego w górze czekan. Podpis głosił: „Gdy Ed Viesturs się wspina, nigdy nie rezygnuje z komfortu”.

Odpowiedzialny, nastawiony na rodzinę alpinista jest pierwszym z nowych bohaterów wspinaczkowych. Kolejnym, szybko zyskującym popularność, jest niepełnosprawny alpinista, bohater kierowany potrzebą przewyciężenia kalectwa, który wspinając się, stanowi wzór do naśladowania dla innych. „Gdy pięćdziesięcioletni mężczyzna ze sztuczną nogą wchodzi na Everest, przekazuje coś ważnego rówieśnikom, ludziom słabym, wszystkim tym, którzy szukają usprawiedliwienia dla tego, że robią mniej, niż by mogli. Może pomaga to w dodaniu im sił, w stwierdzeniu: «Cholera, naprawdę nie muszę rezygnować z marzeń»” – mówi mieszkający w Arizonie alpinista Tom Whittaker.

Whittaker był doświadczonym alpinistą z ambicjami, by zostać „markowym himalaistą”. W 1979 roku pijany kierowca wpadł czołowo na jego furgonetkę, kiedy Tom jechał do Sun Valley na Święto Dziękczynienia. Choć w wypadku stracił prawą stopę i lewą rękę kolanową, był zdeterminowany, by znów się wspinać. W ciągu dwóch lat przeszedł wielkie ściany w dolinie Yosemite i wyznaczył sobie za cel zostanie pierwszym niepełnosprawnym wspinaczem, który zdobędzie Koronę Ziemi – najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. W 1998 roku jako pierwszy niepełnosprawny wspiął się na Everest. Bez wątpienia uczyniło to z niego bohatera w Nepalu. Lokalne media pasowały go na Najdzielniejszego z Dzielnych, Cesarza Świata Inwalidów. Został patronem domu opieki w Katmandu, gdzie ćwiczą niepełnosprawne dzieci. „W Nepalu, kiedy ktoś straci stopę, jego życie mogłoby się równie dobrze skończyć; może tylko żebrać” – stwierdził Tom. „Dla Nepalczyka widok osoby z jedną stopą, która nie tylko wspina się na Everest, lecz także kieruje wyprawą, był niesamowity. W Nepalu jest 2,5 miliona kalekich ludzi, którzy nagle widzieli we mnie swojego orędownika. Nie mogłem tego zignorować”.

W 2002 roku Tom Whittaker został pobity w walce o Koronę Ziemi przez Erika Weihenmayera, niewidomego od trzynastego roku życia. Rok wcześniej Erik wszedł na Everest. Jego wyprawa została sfinansowana

przez Narodową Federację Niewidomych, która miała nadzieję wykorzystać uwagę wywołaną wejściem do nagłośnienia faktu, że 70% niewidomych Amerykanów jest bezrobotnych, i zmienić negatywne nastawienie do ślepoty. „Przyjemnie jest mieć szerszy cel związany ze wspinaniem” – stwierdził Weißenmayer. „Być może uda się zburzyć ludzkie wyobrażenia o ślepotcie, które są często bardziej ograniczające niż samo kalectwo”.

Na Everest pomogła mu dotrzeć dwunastoosobowa ekipa. Zawsze był przed nim wspinacz sygnalizujący dzwonkiem i opisujący teren, który Erik musiał pokonać. Czasami wspinacz za nim udzielał dodatkowych wskazówek i korekt odnośnie kierunku. W wyższych partiach góry, gdy ekipa zaczęła korzystać z dodatkowego tlenu, komunikowali się z Erikim przez laryngofony. Jednym z największych wyzwań, przed którymi stanęli, był lodospad Khumbu, sześciusetmetrowy labirynt nieustannie przemieszczającego się lodu na początku drogi przez Przełęcz Południową. Jego pokonanie wiąże się z przekraczaniem szczelin po szeregu drabin i wędrowaniem poniżej ogromnych, niestabilnych seraków. Ponieważ wraz z upływem czasu ryzyko gwałtownie wzrasta, wspinacze starają się przez niego przedostać tak szybko, jak to możliwe. Średni czas wynosi cztery godziny. Pierwsze przejście tej przeszkody zajęło Erikowi i jego ekipie trzynaście godzin. Następnie przechodzili przez nią wiele razy, gdy zakładali obozy na różnych wysokościach. Przed końcem wyprawy zredukowali swój czas do pięciu godzin. „Byłem bardzo szczęśliwy, przedostając się przez lodospad w dół po raz ostatni” – powiedział Michael Brown, filmowiec ekipy. „Zszedłem szybko, przed wszystkimi, by móc nakręcić materiał filmowy, jak schodzą z Everestu. Denerwowałem się, dopóki ostatnia osoba nie wyszła z lodospadu. Jest to naprawdę ponure miejsce”.

Erik głęboko docenia rolę swojej wspinaczkowej ekipy w odniesionym sukcesie. Jednak to on zebrał zaszczytne laury. Po wejściu na szczyt Everestu został zaproszony do Białego Domu, przewodził Ślubowaniu Wierności na Narodowym Konwencie Republikanów w 2001 roku, niósł znicz olimpijski zarówno na letnie, jak i zimowe igrzyska. Otrzymał państwowe nagrody za odwagę i osiągnięcia, został pokazany w większości głównych amerykańskich czasopism oraz w wielu czołowych programach telewizyjnych. Dzięki swoim dokonaniom zyskał nową profesję. Niedzisiejszy

nauczyciel w szkole średniej i trener zapasów jest obecnie profesjonalnym himalaistą, głównym bohaterem dokumentalnego filmu o swoim wejściu na Everest. Pełni też funkcję rzecznika korporacji Freedom Scientific Inc., która konstruuje produkty techniczne dla osób z zaburzeniami sensorycznymi i trudnościami w uczeniu się. Napisał już autobiografię. Mówi się też, że ze wszystkich himalaistów wygłaszających w Ameryce prelekcje motywacyjne dla firm, jest jednym z najlepiej opłacanych.

Korporacje, pragnąc utrzymać wydajność i entuzjazm swoich pracowników, stworzyły jeszcze jeden typ bohatera – „himalaisty motywacyjnego”. Wielu wspinaczy chętnie rysuje analogie między zdobywaniem góry a osiągnięciem sukcesu w biznesie. Carlos Buhler, amerykański wspinacz, którego życiorys obejmuje dwadzieścia osiem lat wspinania w Himalajach, z upodobaniem „stara się stworzyć wspólny język” z menadżerami korporacji. Sądzi, że ich wyzwania są „równie intensywne i interesujące, jak wszystko, co zrobiłem na K2. Gdy udzielam tych korporacyjnych prelekcji, rozumiem, że ludzie mają własne szczyty do zdobycia. Niewiele nas dzieli oprócz poziomu ryzyka i strat w ludziach – lecz poza tym rozwiązywanie górskich problemów nie jest zbyt odmiennym wyzwaniem od próby sprzedaży kabli światłowodowych lub tworzenia oprogramowania”. Niektórym wspinaczom trudno jest zrozumieć tę analogię do biznesu, nawet jeśli czerpią z niej korzyść. Joe Simpson, którego korporacyjne pokazy są w dużej mierze opowieścią o tym, jak wyczołgał się ze szczeliny w Andach Peruwiańskich, przyznaje z pewnym niedowierzaniem, że grupy odnoszących sukcesy ludzie biznesu chętnie słuchają jego historii o tym „jak spartaczyliśmy naszą pierwszą wysokogórską wyprawę”. I płacą mu za to po królewsku.

Dwaj mężczyźni z flanki Rupal, Mark Twight i Barry Blanchard, często wygłaszają prelekcje i przedstawiają pokazy slajdów dotyczące swoich wspinaczek. Widzą, że ich opowieści są zajmujące i czasami bardzo inspirowane dla innych, lecz twardo odmawiają przekształcenia ich w korporacyjne prelekcje motywacyjne. „Nie widzę analogii między wspinaniem się na szczyt i ułożeniem udanego planu biznesowego” – mówi Barry. „Nie sądzę, by brzmiały one prawdziwie i nie chcę ich wygłaszać”.

Marka Twighta przy kilku okazjach zachęcano do wykorzystania opowieści o heroicznym wydarzeniach na flance Rupal jako modelu biz-

nesowego. Jeden z biznesmenów sugerował, że Mark mógłby następnie przedstawić sprawozdanie z wyprawy, która przebiegała jak w zegarku dzięki doświadczeniu zgromadzonemu przez wspinaczy. „Powiedziałem mu, że zwyczajnie nie mógłbym tam stać i opowiadać takich bzdur z kamienną twarzą” – stwierdził Mark. „Postrzegam to jako żerowanie na wrażliwości ludzi będących w okresie swojego życia, w którym pytają: co teraz? Naprawdę nie uważam, by żywienie się taką niepewnością było sposobem zarabiania na życie. A nawet jeśli jest istotnym źródłem motywacji i budowania zespołu, na jak długo pomaga? Każdy przepisany lek wystarcza na sześć do ośmiu godzin i moim zdaniem prelekcje motywacyjne działają podobnie”.

Nie wszystkie firmy by się z nim zgodziły. W 2002 roku Aventis Pharmaceuticals zaprosiła Erika Weihenmayera, by przemówił do jej pracowników podczas startu nowej kampanii sprzedażowej. Całej kampanii o nazwie „Ponad Szczyt” nadano wspinaczkowy charakter. Na stronie internetowej, nazwanej bazą, pracownicy sprzedaży byli zachęcani do kontrolowania swoich celów i śledzenia wzajemnych postępów. Dla zachęty otrzymywali sportowe upominki, jak breloczki do kluczy w postaci karabinka z dołączonym kompasem, oraz zachęcające e-maile i wiadomości głosowe od Erika Weihenmayera. Z końcem pierwszych trzech miesięcy sprzedaż wzrosła o 22,1% w stosunku do pierwszego kwartału poprzedniego roku.

Pomaganie ludziom w ustanawianiu i osiąganiu celów oraz uskutecznianiu zmian w ich życiach to wartościowe osiągnięcia. Czy nie ma jednak głębszych korzyści, które można czerpać z ryzykownych przedsięwzięć alpinistów? Z pewnością niosą w sobie głębsze przesłanie, coś fascynującego i niepokojącego, mitycznego.

W 2001 roku spotkałam się z meksykańskim himalaistą Carlosem Carso, czwartym i najmłodszym z ludzi, którzy dotarli na szczyty wszystkich czternastu ośmiotysięczników. Jednym z najtrudniejszych było K2, na które wspiął się w 1993 roku, w wyczerpujących warunkach. „Spaliśmy na zboczu góry, tuż poniżej wierzchołka” – opowiadał mi. „Byliśmy przemarznięci. Szalała burza śnieżna, schodzenie ze szczytu było nieco wariackie”.

„Niecو wariackie” oznaczało przebijanie się przez tak intensywną zamieć śnieżną, że po kilku godzinach wraz z trójką partnerów ze swojej ekipy posunął się jedynie 300 metrów w dół. Dwóch wspinaczy udających się w górę zaoferowało im schronienie w swoim dwuosobowym namiocie. Sześciu facetów w maleńkim wnętrzu. Sześciu zdesperowanych mężczyzn. U dwóch rozwinął się obrzęk mózgu, jeden miał obrzęk płuc, jeden doznał ślepoty śnieżnej, jeden miał ciężkie odmrożenia. Nikt nie miał ani trochę dodatkowego tlenu. Na zewnątrz burza wbijała się pazurami w delikatną, nylonową powłokę, próbując ją zerwać. Musieli zejść, inaczej by zginęli. Carlos i jego partner, jako najsilniejsi, poszli pierwszy, torując drogę w głębokim śniegu i mocując liny. Ze względu na brak widoczności spowodowany śnieżycą stracili się z oczu. Carlos omyłkowo poszedł na południe, w dół zbocza, które stawało się coraz bardziej strome. Nagle zatrzymał się. Śnieg wirował wokół niego tak gęsto, że nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki. Jednak instynkt ostrzegł go, że jest na skraju przepaści. „Nie miałem siły, by wspiąć się w górę. Byłem kompletnie wyczerpany. Siadłem w śniegu. W takiej zamieci nie mogłem nic zobaczyć, lecz byłem w stanie coś wyczuć. Czuję, że pode mną jest pustka, próżnia, ale byłem pewien, że za tą pustką coś jest. Ogromnie się skoncentrowałem, wziąłem wiele głębokich wdechów. Osiągnąłem stan pewności, w którym nie było miejsca na obawy. I wtedy skoczyłem”.

Wpatrywałam się w niego. „SKOCZYŁEŚ?”

„To był bilet w jedną stronę” – odparł. „Skok po śmierć albo życie. Nie wiem, jak był długi, ale zajął chwilę. Potem grzmotnąłem w śnieg, zacząłem się zsuwać, hamowałem czekaniem. Zatrzymałem się. Moje nogi wisiały nad próżnią. Dostałem zastrzyk adrenaliny. Wczołgałem się do góry i leżałem tam przez długi czas, czując się znów żywy. To była fantastyczna chwila”.

Gdy słuchałam, jak Carlos opowiadał swą historię, częśćka mnie myślała, że ten facet jest obłąkany. Lecz byłam też zafascynowana, chciałam dowiedzieć się więcej na temat skoku w otchłań, wkroczenia w strefę między życiem i śmiercią. Strefę, do której wkroczyli mężczyźni na flance Rupal, kiedy podjęli decyzję, by schodzić ze szczytu bez lin. Strefę, którą Joe Simpson barwnie opisuje w „Dotknięciu pustki”.

Gdy Joe schodził z Siula Grande, szczytu w Andach Peruwiańskich o wysokości 6344 metrów, spadł i złamał nogę. Jego partner wspinaczko-

wy Simon Yates przez wiele godzin opuszczał go na dół. Podczas jednego ze zjazdów Joe przemieścił się przez krawędź urwiska i zawisł nad ogromną szczeliną. Wyżej, poza zasięgiem wzroku i głosu Simon stanął przed strasliwym wyborem: czy zostać ściągniętym wraz z Joem, czy przeciąć wiążącą ich linę. Przeciął linę. Joe runął do szczeliny, lądując na lodowej półce, piętnaście metrów poniżej wlotu. Zbyt ciężko poszkodowany, by wspiąć się w górę, przerażony ziejącą pod nim głębią, spędził długą noc, broniąc się przed obłądem i zimnem. Gdy nastał ranek, zdecydował się zjechać dalej w głąb szczeliny. Z premedytacją zrzucił linę bez węzła na końcu. Gdyby nie znalazł sposobu na wydostanie się, wołał wyjechać z jej końca, niż wrócić na półkę. Trzydzieści metrów niżej dotarł na śnieżne podłoże – nie dno szczeliny, jak z początku oczekiwał, lecz cienkie sklepienie nad kolejną ogromną otchłanią. Przez pięć godzin ostrożnie podskakiwał i podciągał się wzdłuż tego sklepienia, wznoszącego się stromo w kierunku snopu światła. W końcu jego głowa wynurzyła się ze szczeliny. Przytłaczająca ulga była jednak krótkotrwała. Baza leżała w odległości dziewięciu i pół kilometra, po przeciwnej stronie dzikiej scenerii lodowców i skalistych moren. Po trzech dniach czołgania się i podskakiwania dotarł do niej, by odkryć, że Simon domniemując śmierć Joego, spalił wszystkie jego rzeczy i szykował się do odejścia.

„Dotknięcie pustki” jest międzynarodowym bestsellerem. Po raz pierwszy opublikowane w 1988 roku, zostało przetłumaczone na dwadzieścia pięć języków i sprzedane w milionach egzemplarzy na całym świecie. Powód? Prócz tego, że jest to fascynująca przygodowa historia, ucieleśnia prastarą obawę przed byciem pogrzebanym za życia, strach odbijający się echem na przestrzeni dziejów w religii i mitologii. Jonasza połknął wieloryb. Persefona została wciągnięta w dół głębokiej, ciemnej szczeliny do Hadesu. Po odcięciu liny ratunkowej Joe Simpson pograżył się we wnętrzu ziemi. Historie alpinistów są nowymi wersjami mitów.

W książce „Bohater o tysiącu twarzy” amerykański autor Joseph Campbell twierdzi, że jednym z celów mitologii jest przekazywanie „symboli, które przenoszą nas w nowe rejony poznania”. Wśród tych symboli kluczową rolę pełni bohater i jego poszukiwania. Alpiniści ochoczo wyruszają na niebezpieczne eksploracje, sama ryzykowna przygoda jest dla nich Świętym Graalem. Tworzą własne odyseje, porzucając to, co znane

dla nieznanego, zapuszczając się w wysoko położone miejsca, gdzie czekają ich próby i cierpienie. Jeśli mają szczęście, wrócą do domu z tarczą, przywożąc opowieści, które oczarują osoby mniej skłonne do ryzyka. Historie o odmiennym stanie umysłu i ciała, przekraczaniu granic zwykłej ludzkiej wiedzy i doświadczenia. O wkraczaniu do strefy pomiędzy życiem i śmiercią. Strefy transcendencji.

W 1939 roku w przemówieniu do Klubu Alpejskiego wspinacz i poeta Michael Roberts powiedział o wysokogórskim wspinaniu: „Ofiara nie jest konieczna. Ryzyko nie przynosi żadnej materialnej korzyści, ale jednak coś daje – euforię, poczucie klarowności widzenia – co częściowo je usprawiedliwia. Zresztą ryzyko usprawiedliwia się samo. Jest demonstracją tego, że człowiek nie jest w pełni przywiązany do poszukiwania jedzenia, ani całkowicie skrupowany rodzinną i społeczną lojalnością; że są stany umysłu i duszy, które ceni bardziej niż samo życie na którejkolwiek z niższych płaszczyzn”.

Sześćdziesiąt lat później Mark Twight napisał w książce „Extreme Alpinism”: „Na pewnych drogach osiągnąłem umysłowy bądź nieumysłowy stan mitycznego związku z górą tak silny, iż wiedziałem, że nie mogę spaść lub popełnić błędów. Mogłem czytać w myślach mojego partnera. Nie podlegałem grawitacji. Zatracałem wówczas własne ja, stawałem się górą...”

Dla słoweńskiego himalaisty Tomaža Humara, przez wielu uważanego za najodważniejszego wysokogórskiego wspinacza na świecie, ten odmienny stan umysłu łączył się z wiarą w siłę wyższą. „Jestem wybrańcem” – mówił. „Mocno wierzę w Niego. Musimy po prostu podążyć, gdy otrzymamy znak. Jesteśmy zbyt mali, by pytać dlaczego. Jeśli wierzysz w Ducha, zostaniesz pobłogosławiony i nic się nie zdarzy”.

W pobliżu jego domu w Słowenii znajduje się szczyt, na który często chodził, by pomedytować, przemówić do jego ścian, zadać mu pytania, otrzymać odpowiedzi. Upierał się, że ten kontakt może zaistnieć nawet, gdy jest wewnątrz swojego domu. „Jeśli zdarza się to w nocy, w naszym domu nikt nie może spać; tak silna jest ta łączność. Brzęcząca jak telefon. To nie jest głos, lecz energia. Po dwóch bądź trzech godzinach moja żona mnie kopie. Mówi: «Hej, chcę spać». Więc biorę koc i wychodzę na zewnątrz. Jestem nieco dziwny”.



W himalajskich bazach, gdy zbliżał się czas jego wspinaczki, wycofywał się ze wszystkich społecznych kontaktów. Podczas obrzędu przypominającego rytuał *minogi*, symbolicznego oczyszczenia duszy<sup>4</sup>, kąpał się i ubierał w czyste ubrania. Potem znajdował miejsce do medytacji, skupiając wszystkie myśli na ścianie, na którą chciał się wspiąć. „Czekam, aż ściana mnie wezwie. To jest jak związek. Pojmuję góry nie za pomocą mięśni, tylko moim trzecim okiem. To moja tajna broń”.

Jego „tajna broń” pomogła mu dokonać nadludzkich wyczynów. Wejść na wierzchołek Annapurny I solo w zamieci śnieżnej. Zejść z Nuptse samotnie po ciemku, po tym, jak jego partner wspinaczkowy został zwinny ze szczytu. Wytyczyć nową drogę na południowej ścianie Dhaulagiri, morderczym miejscu z przewieszonymi serakami i luźną skałą. Tomaż spędził na południowej ścianie jedenaście dni, samotnie, przetrzymując obrywy lodu i lawiny, nie mając już jedzenia i wody, czasami wspinając się bez asekuracji – bez lin, haków i śrub lodowych. Środowisko wspinaczkowe było olśnione tym wyczynem uważanym za najbardziej śmiałe i błyskotliwe wysokogórskie osiągnięcie dekady.

Tomaż Humar był bohaterem nie tylko wśród osób równych jemu, lecz także w swoim kraju. Po powrocie z Dhaulagiri do Słowenii został zalany na lotnisku przez falę wielbicieli. Obsypany zaszczytami, sławą i propozycjami sponsoringu. W końcu zszedł na ziemię. Podczas budowy domu dla swojej rodziny potknął się i wpadł do budowlanego dołu, roztrzaskując kości w obu nogach. Było to tylko tymczasowe wytchnienie od heroicznych dokonań. Potem wrócił w Himalaje, zdeteterminowany bardziej niż kiedykolwiek. „Czasami... po prostu zatraćcam się na wysokościach” – pisał w książce „No impossible ways”. „... przez mikroskopijną chwilę odczuwam cały ogrom wieczności”. Zginął 14 listopada 2009 roku na północnej ścianie Langtang Lirung w nepalskiej części Himalajów.

Pęd alpinistów, by dotrzeć ponad chmury, wynosi ich na fizyczne i umysłowe szczyty. Niektórzy wracają, ujrawszy przelotnie wieczność, „dotknąwszy twarzy Boga”. Jak Ikar, ryzykują dla tego wszystko. Niczym on ignorują ostrzeżenia: jeśli wleczysz zbyt wysoko, mój synu, wosk na twoich skrzydłach się roztopi. Tak jak Ikar, często giną młodo.

---

<sup>4</sup> Praktykowany przez Yamabushi – ascetycznych mnichów z japońskich gór.



Pomimo tych kosztów społeczeństwo potrzebuje ryzykantów – tych, którzy ośmielają się robić ogromne kroki w nieznanym, wykraczać wyobraźnią poza jej wcześniejsze ograniczenia. Kolumb wypłynął w morze, by odkryć nowy świat, konfrontując się z prawdopodobieństwem spadnięcia z krawędzi Ziemi. Neil Armstrong zrobił pierwszy krok na powierzchni księżycy. Philippe Petit przeszedł po linie rozciągniętej wysoko pomiędzy nowojorskimi wieżowcami World Trade Center. Podobnie jak oni, ekstremalni wspinacze mają odwagę zapaść się na sam skraj egzystencji, odkrywając nowe fizyczne, umysłowe i duchowe terytoria. Ich mityczne opowieści dają nam wgląd w nasze najgłębsze obawy i ukazują potencjał uniwersalnych ludzkich doświadczeń. Korzystają z tego, co Joseph Campbell nazywa „siłami psychicznymi, które nam ciążyą lub którym się opieramy. Nie myślimy o nich i nie ośmielamy się wykorzystać ich w naszym życiu... Są niebezpieczne, bo zagrażają strukturze bezpieczeństwa, w którą wbudowaliśmy siebie i swoje rodziny. Jednak są także diabelsko fascynujące, gdyż stanowią klucz do królestwa pożądanej i budzącej lęk przygody odkrywania własnego ja”.

Ale te „psychiczne siły” szybko rozpraszają się, gdy wspinacz wraca na ziemię. Wspomnienie transcendencji błędnie, przeżycia można zachować jedynie w opowieściach. Albo wracając w góry.

„Co wejście na Everest mogło potencjalnie zmienić?” – napisał Tom Hornbein po swym legendarnym, pierwszym przetraversowaniu tej góry wraz z Willim Unsooldem w 1963 roku<sup>5</sup>. „Czy stałem się wspanialszy, stanąwszy na najwyższym miejscu na ziemi? Wycieńczony człowiek, zmęczony i złęczony, który ślaniając się, wracał w stronę domu, nie zajmował się odpowiedzią na to pytanie. Wspaniałe marzenie stało się wspomnieniem... Everest musi dołączyć do innych, pospolitych realiów mego życia. W przeciwnym wypadku... Pozostało wiele pytań. A odpowiedzi? Dziwne, że kiedy marzenie jest spełnione, pozostaje niewiele prócz wątpliwości”.

Tom i Willi mieli szansę być w pierwszej grupie Amerykanów na wierzchołku Everestu, która wchodziła na niego drogą przez Przełęcz Południową. Jednak pokonywano ją już tak często, że była „niemal wybrukowana”. W zamian woleli „zrobić krok w nieznanym”. Chcieli wejść

---

<sup>5</sup> Był to jednocześnie pierwszy trawers ośmiotysięcznika w ogóle.

na szczyt jego dziewiczą granią zachodnią i zejść do drogi przez Przełęcz Południową, dokonując w ten sposób pierwszego trawersu Everestu. Dość dosłownie chcieli przekroczyć szczyt możliwości. „Wyzwaniem jest sprawdzenie, czy możemy to osiągnąć niewielkim kosztem” – napisał Tom do swej żony tuż przed wyruszeniem. „Nadzieję dają nam niewielkie obciążenie, prędkość i piekielnie dużo szczęścia”.

17 maja obozowali na wysokości 7600 metrów, gdy wiatr zdmuchnął namiot wraz z nimi w środku w dół zbocza. Wyrwawszy się z niego w samą porę, obserwowali, jak jeden ze śpiworów został wyspany na zewnątrz przez rozdarcie w tkaninie, pofrunął w górę „jak ogromny zielony wiatrowskaz” i zniknął w zamieci. Everest starał się usilnie ich zrzucić, lecz nie zgodzili się poddać. Cztery dni później opuścili przed świtem ostatni obóz na wysokości 8290 metrów i przystąpili do ataku szczytowego. Po kilku godzinach wspinania osiągnęli górny kraniec pasma kruszących się, zdradliwych skał Yellow Band. Ponieważ wspięcie się po nich było bardzo trudne, uznali, że zejście byłoby zbyt skomplikowane. Nie było możliwości powrotu.

„Dom i życie leżały jedynie po drugiej stronie wierzchołka Everestu, w dole jego przeciwległego zbocza” – napisał później Tom Hornbein. „A gdybyśmy spadli? Ta myśl nie przyniosła skruchy ani lęku. Gdy ją rozważyliśmy, niemal przestała nas interesować. To, co teraz miało największe znaczenie, było bezpośrednio tutaj – Willi i ja, związani razem liną, i szczyt, jego nieprzystępny wierzchołek daleko w górze. Cel, dla którego tu przyszliśmy, był w naszym zasięgu. Należeliśmy do góry, a ona do nas...” Przekroczyli granicę, zamknęli za sobą drzwi. Wkroczyli do strefy poza życiem, w wyraźnym zasięgu śmierci.

O osiemnastej piętnaście stanęli na szczycie świata. Uściskali się wzajemnie, roniąc łzy, które szybko zmieniły się w lód. Gdy zachodziło słońce i ich cienie stawały się coraz dłuższe, zaczęli schodzić po południowej stronie Everestu. Cel: Obóz VI założony przez członków ich ekipy powyżej drogi przez Przełęcz Południową. Trzysta metrów ponad obozem spotkali dwie osoby z tej ekipy leżące na śniegu, wyczerpane po wejściu na szczyt wcześniej tego dnia. Tom i Willi próbowali nakłonić ich do zejścia do obozu. Jednak posuwali się wolno. W ciemności droga była niebezpieczna i ryzykowna. Nie mieli wyboru, musieli spędzić noc pod gołym

niebem, na zboczu góry. Nikt nigdy nie przetrwał biwakowania na wysokości 8500 metrów. Zdjęli plecaki, skulili się w kłębki i czekali, aż minie noc – bez końca, w głębokiej izolacji i dogłębnie przesywającym zimnie. Tom Hornbein „dryfował w przypominającej sen wieczności, pozbawiony planów, obaw, żalu. Śmierć nie miała znaczenia, tak samo życie”. Około czwartej rano niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Następną godziną, kiedy przemarznięci mężczyźni czekali na słońce, ciągnęła się w nieskończoność. „Weszło w końcu dopiero po piątej” – pisał Tom. „Jego światło przepływało przez Przełęcz Południową, rozplómiętało się żółcią w poprzek ściany Nuptse, po czym padało na białe, falisty grzebień szczytów daleko w dole. Przyglądaliśmy się temu z poczuciem, jakby nasze życie zaczynało ponownie się rodzić. Po czym, gdy zimne światło nas dotknęło, wstaliśmy”.

Wspinacze w różny sposób wracają do życia. Carlos Carsoli wskoczył w nie, Joe Simpson doczołgał się do niego, mężczyźni na flance Rupal odnaleźli je kurczowo uczepleni urwiska. W konfrontacji z górą każdy z nich przełamał swoje ograniczenia, odkrywając nowe obszary umysłu, ciała i duszy. Ci „misjonarze transcendencji”, jak psycholog James Hilman nazywa takich ryzykantów, powróciwszy ze swymi opowieściami, przypominają nam, że w życiu istnieje coś więcej niż codzienność. Kroki w nieznanie są niezbędne dla ludzkiej duszy. Czasem, jak Tom Hornbein, przeżywają swoje wszystkie eksploracje i dożywają podeszłego wieku. Jednak aż nazbyt często są jak spadające gwiazdy, olśniewające świat przez chwilę, po czym szybko gasnące. „Wcześniej się wyróżniają. Zakłócają codzienność i znikają” – pisze Hilman.